

**Z TADEUSZEM KONWICKIM O FILMIE „LAWA”
WEDŁUG „DZIADÓW” A. MICKIEWICZA
ROZMAWIA BOŻENA MARKOWSKA**

Tadeusz Konwicki: Naczytawszy się Pana Adama i pamiętając o tym, że jestem jego rodakiem i że właściwie nie tylko z ziemi litewskiej pochodzę, ale i z tego samego obyczaju, z tego samego klimatu, z tej samej kultury na pograniczu Europy i Azji, czułem się upoważniony do zastosowania chwytu, który bardzo lubię, a mianowicie, powrotu w miejsca rodzinne – powrotu nie dosłownego, ale powrotu w wyobraźni, w pamięci. Takie powroty robi się podczas bezsennych nocy, w czasie zadymki śnieżnej za oknem. Człowiek wraca pamięcią do tego czegoś, co go kiedyś ukształtowało. I pozwoliłem sobie przywołać z zaświatów Pana Adama i razem z nim ruszyłem, a właściwie ruszyłem za nim, do współczesnego Wilna, prosząc go, żeby spróbował ewokować te wszystkie zdarzenia i incydenty, których był świadkiem i które się stały materia *Dziadów*. Spróbowałem też mu podpowiedzieć pewne myśli czy pewne supozycje, które wynikają z tego, że od czasów Mickiewicza w Wilnie minęło półtora wieku.

Bożena Markowska: Pana ostatni film jest dziełem szczególnym. Jest to dzieło, które obejmuje los całego narodu i wszechstronne poczynania rozmaitych bohaterów. Z którym bohaterem własnego filmu się Pan utożsamia?

T. K.: Utożsamiam się z jednym bohaterem tego filmu, mianowicie z naszym społeczeństwem. Miałem nadzieję, że na podstawie *Dziadów* Mickiewicza, właściwie wszystkich części,

zdołam uformować film, który będzie naszym zbiorowym portretem – oczywiście, portretem skomplikowanym, portretem psychologicznym, intelektualnym, że będzie też odbiciem naszych kompleksów, urazów, naszej podświadomości, naszych nadziei, naszych niespełnień.

B. M.: Wydaje mi się, że postacią, z którą Pan się również utożsamia, jest poeta, który wchodzi do zniszczonego dworku – jak gdyby na pograniczu historii i współczesności. Wędrował Pan z nim razem tymi samymi ulicami, które Pan pamięta ze swojej młodości, jednocześnie znajdując coś nowego i czegoś nie znajdując.

T. K.: Proszę Pani, przede wszystkim *Dziady* zaadaptowałem i sfilmowałem z pewnym dystansem. To znaczy nie robiłem tego na klęczkach, nie odtwarzałem dzieła Mickiewicza jak relikwii narodowej. Posługiwałem się nawet czasem tonem szyderczym, wprowadzając postać anioła. Polacy na przykład wyobrażają sobie siebie jako rodzaj anioła w Europie. Nawet mówiąc o naszej historii ostatnich stu pięćdziesięciu lat pokazałem to z pewnym dystansem.

B. M.: Pan powiedział, że ta scena była szydercza. Mną ona wstrząsnęła. Anioła odebrałam jako Polskę kroczącą przez cmentarze historii – rozmaite nasze cmentarze. Nie mogę powiedzieć, że bym poczuła szyderstwo, poczułam coś w rodzaju wstrząsu, wzruszenia, dreszczu nawet.

T. K.: Może użyłem niefortunnego słowa „szyderstwo”. To jest pewien mój sceptycyzm. Wyraża się on w moim dystansie do samego tekstu Mickiewicza. Parę rzeczy inaczej zinterpretowałem. Wytropiłem też u Mickiewicza jakieś nieścisłości czy też pewien zachłyst Pana Adama, w którym on zapominał o realności życia. Czyli przy całym szacunku i całej miłości mojej do tego wiersza, w końcu to jest mój film, i ja się za Panem Adamem skryłem.

B. M.: Mickiewicz był profetyczny, snuł wizje, Pan próbuje dopowiedzieć to, czego oczywiście Mickiewicz nie mógł zobaczyć, a co może przeczuł, coś, co w naszym narodzie będzie się ciągle powtarzało: właśnie cmentarze, właśnie tragedie, ta ciągła walka.

T. K.: Proszę Pani, przede wszystkim co się narzuca, kiedy się czyta Mickiewicza? To jest przejmujące: dwie miłości. Specjalność, która się stała cechą polską: miłość do kobiety i miłość do swego kraju. Te dwie miłości bez przerwy się jakby przenikają, zastępują siebie. Jest to potem fenomen *Lalki* Prusa. Stało się to nawet pewnie naszą tradycją i naszą specjalnością narodową. Ja, tropiąc Mickiewicza, jego tok myślowy i uczuciowy, nawet w pewnych momentach Wielkiej Improwizacji podważam myśl Pana Adama, bo wtedy, kiedy on mówi, że odrzuca sprawy doczesne, cielesne, tylko już się z Bogiem wadzi, przypominam o miłości do Maryli. Przecież ta miłość była siłą napędową jego wizjonerstwa, równie silną, a nawet może trochę silniejszą niż kraj. No, powiedzmy – były równorzędne.

B. M.: To mi najmniej trafia do przekonania. Raczej mimo wszystko ważniejsze jest wadzenie się z Bogiem.

T. K.: A w scenie, kiedy pustelnik przychodzi do Księdza unickiego? Ten hymn miłosny jest tak silny, tak potężny, jakiego chyba drugiego nie ma. Niech Pani tego jeszcze raz posłucha: jest tak piękny i tak przejmujący:

Kto jestem?... jeszcze rano... powiedzieć nie mogę.

Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju,

A dążę do tegoż kraju.

[...] Młodości mojej niebo i tortury!

One zwichnęły osadę mych skrzydeł

I wyłamały do góry,

Że już nie mogłem na dół skrócić lotu.

Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł;

Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu;

Gardzący istotami powszedniej natury,

Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki,

Której na podłonecznym nie bywało świecie,

[...] Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.

Pamiętam wśród jesieni... przy wieczornym chłodzie;

Jutro miałem wyjechać... błędę po ogrodzie!

W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,

Którą bym odział serce, miękkie z przyrodzenia

I wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia!

Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.

Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:

Na kilka godzin pierwszej wylały się deszcze,

Cała ziemia kroplistą połyskała rosą.

Doliny mgła odziewa jakby morze śniegu;

Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,

A z tamtej strony księżyc przezierał bladej,

Gwiazdy toną w błękitach po nocnym obiegu.

Spojrzę... jak raz nade mną świeci gwiazdka wschodnia;
 O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
 Spojrzę na dół... na szpaler... patrz, tam przy altanie,
 Ujrzałem ją niespodzianie!
 Suknią między ciemnymi bielejąca drzewy
 Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie;
 Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy,
 Oczy zwrócone w ziemię... nie spojrzała ku mnie!
 A lica jej bardzo blade.
 Nachylam się, zajrzę z boku,
 I dojrzałem lezkę w oku;
 Jutro, rzekłem, jutro jadę!
 «Bądź zdrów!» – odpowie z cicha: ledwie posłyszałem,
 «Zapomnij»... Ja zapomnę? o! rozkazać snadno!
 Rozkaż, luba, twym cieniom, niechaj wraz przepadną
 I niech zapomną biegać za twym ciałem!...
 Rozkazać snadno!
 Zapomnij!!”

B. M.: Chciałabym Pana poprosić o przypomnienie sobie tego, co Pan sobie wyobraża, kiedy budzi się Pan w nocy. Właśnie wędrówkę poprzez cmentarz wileński, przez ulice wileńskie i powrót do krainy Pana dzieciństwa, młodości.

T. K.: W każdym bądź razie jest to miasto w tej chwili takie, że przypuszczam, Pan Adam by się mocno zamyslił, ale jestem przekonany, że swoim talentem i swoim intelektem wsparłby to, co tam się dzieje dobrego. To znaczy myślę o odzyskiwaniu niepodległości przez Litwę, uzyskiwaniu tożsamości przez tę bardzo zdruzgotaną i zsowietyzowaną mniejszość polską. My żyjemy w bardzo osobliwej sytuacji. Ostatnio w jakimś filmie dla sieci BBC mówiłem coś o moim „ukochanym” Pałacu Kultury i nagle uświadomiłem

sobie, że przecież on stoi na strasznym cmentarzysku, że tam była bardzo ludna, bardzo żywa, handlowa, nabita ludźmi, dramatami, różnymi sprawami dzielnicą, która została starta z powierzchni ziemi. Potem było powstanie i wszyscy ci nasi zmarli leżą cały czas w ziemi, pod nami. Tak jest właściwie w całej Polsce i dlatego ten leitmotiv wystąpił w mojej powieści *Wniebowstąpienie*, gdzie zmarli z żywymi, półżywi, półzmarli – wszyscy razem, żyją w tym miejscu Europy. Więc wydaje mi się, że w mojej świadomości, ale też w świadomości wielu ludzi jest to sytuacja osobliwa psychologicznie. Tutaj zwycięstwo graniczy z klęską, życie ze śmiercią, radość z tragedią. I to aż się prosi o demonstrację w sztuce. Oczywiście *Dziady* to obrzęd białoruski, dziejący się na cmentarzu, zresztą oznaczający pamięć przodków. Ale nie sposób uruchomić tego obrzędu bez pamięci. Przecież cały ten kraj to jeden wielki cmentarz wielu narodowości, wielu grup etnicznych, wielu religii, wielu kultur. Również tutaj przypominamy sobie kulturę, obyczajowość społeczeństwa żydowskiego, które także żyło wśród nas.

B. M.: I właśnie to przejście przez ten cmentarz, związanie przeszłości ze współczesnością było Pana zamierzeniem. Można postawić Panu zarzut, że wmontował Pan właśnie współczesność w Wielką Improwizację, że znalazły się tam obrazy ludzi wychodzących ze Stoczni Gdańskiej, że jest tam także Pałac Kultury.

T. K.: Bo ja z *Dziadów* odcedziłem wszystko to, co jest moje, nasze wspólne, współczesne, jako powiada Dzięwoński – „dożyłne”. Wyeliminowałem cały kostium stylu, mody, pewnej konwencji fryzującej rzecz na jakiś dramat, który przecież nie był sceniczny,

ale używał pewnych rekwizytów związanych z epoką, z modą. W związku z tym rzecz stała się wyrazista i dynamiczna, a w pracy z aktorami, co oni sami doskonale rozumieli, stosowaliśmy to podejście, że demonstrujemy nasze dzisiejsze problemy, urazy, kompleksy, nadzieje, marzenia, tragedie, niespełnienia. Mówili więc swoje kwestie tak normalnie, jak w filmie obyczajowym dziejącym się w kuchni, w sypialni czy w urzędzie.

B. M.: Panu udało się w tym filmie osiągnąć to, że Mickiewiczowski wiersz zabrzmiał niesłychanie współcześnie.

T. K.: W ogóle spostrzegłem, że *Dziady* są rodzajem misterium narodowego. W Wielki Tydzień odbywają się takie misteria w różnych krajach. Każdy kraj ma swoje widowisko pasyjne, które ciągle powtarza i odtwarza. I *Dziady* też nieustannie wracają, są realizowane. Tak samo i ja uznałem tę wersję za jedną z realizacji nas samych: że my odgrywamy *Dziady*, które są naszą tradycją i naszym dramatem narodowym, ale też współczesnością. I dlatego zaznaczyłem, że ludzie, którzy biorą udział w tym misterium, wyszli z realnego życia: Holoubek wychodzi w kurtce zielonej z bramy, którą Pani nazwała stoczną... Ja się tam pokazuję, aktorzy – za oknem u Senatora... Migają samochody nasze dzisiejsze. To jest cienka warstwa, umowność na żelaznym tle naszej rzeczywistości.

*

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Z czujnym słuchem, z baczным okiem
Spieszmy się w tajnym obrzędzie,
Z cichym pieniem, wolnym krokiem;
Wszak nie nucim po kolędzie,
Nucimy piosnkę żaloby;
[...]
Póki ciemno, głucho wszędzie,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie.

B. M.: Obrazy Pana filmu mogą być dla ludzi niezrozumiałe. Ktoś wychodząc z kina, akurat z tego, w którym ja oglądałam *Lawę*, powiedział: „I spróbuj to wszystko komuś wytłumaczyć, komuś, kto nie zna polskiej tradycji, komuś, kto nie zna polskiej historii”.

T. K.: Zrozumienie nie jest sprawą granic. I zrozumienie nawet nie jest sprawą warstw społecznych: to znaczy od tzw. prostych ludzi do uczonych na wierzchu. Zrozumienie jest sprawą wrażliwości i wewnętrznej inteligencji. Ten film jest tak samo niezrozumiały dla pewnych ludzi w naszym kraju, którzy wyrosli w naszej tradycji, i powinni go rozumieć, jak i niezrozumiały dla mieszczucha zachodniego, a zarazem jest on zrozumiały dla ludzi wrażliwych na poezję, na pewną metaforykę, na pewien typ skojarzeń oraz na budowę dramaturgiczną opartą na rozwoju intelektualno-emocjonalnym, a nie na biegu wypadków. Ale to dobra uwaga: jak to można komuś wytłumaczyć? W ogóle my jesteśmy nieprzetłumaczalni. Spostrzegłem, że najbardziej łatwy do tłumaczenia i najbardziej przesiąkalny na świat i na zagranicę jest banał. Coś, co jest stereotypem, banałem, wszędzie rozumieją, nawet w Nowej Gwinei. Ale przecież też wiemy, że się buduje sztukę tego małego globu wspólnie i ciągle każde społeczeństwo coś dorzuca. Przecież my, będąc niezrozumiali i założmy niezrozumiałą sztukę prezentując za granicą, zarazem jak gdyby ją czynimy powolutku zrozumiałą. Na przykład na festiwalu w Edynburgu „grasował” Pan, który się nazywał Demarco. Otóż on wpadł w szalony zachwyty obejrzawszy *Dolinę Issy*, o której ja zapomniałem. Nagle dostrzegł dla dzisiejszej rodzącej się wspólnoty domu europejskiego nie-

zwykle ważne treści, które nie są zapisane dosłownie, ale które są w podświadomości tych ludzi, w ukierunkowaniu ich działań psychologicznych, czyli uznał to za rzecz szkocko-irlandzką. Mnie się wydaje, że z *Dziadami* byłoby nawet może dobrze, gdyby była możliwość znalezienia tłumaczeń *Dziadów*, których nie ma, i znalezienia formy technicznej na przekazanie tego tłumaczenia. Improwizację słyszałem kilka razy w życiu i usnąłem, bo mnie się wydawało to tylko retoryką, jakąś Niagarą słów bez pokrycia. W wykonaniu Holoubka nagle stała się naszą sprawą osobistą dziś współczesnych ludzi, którzy się nie zadowolają tylko budowaniem daczy czy zdobywaniem stanowisk, lecz myślą o sensie naszej egzystencji. I tutaj wyzwanie rzucone Bogu czy Opatrzności przez Mickiewicza bardzo koresponduje z naszą sytuacją, z postępem cywilizacyjnym, naukowym, który też zaczyna w jakiś sposób konkurować z Opatrznością. Ale też z naszym „niedopieczaniem” wewnętrznym, z naszymi głodami. My chcemy wiedzieć, my chcemy móc zdecydować o swoim losie, o swojej egzystencji. Szczególnie dotyczy to tzw. artystów, którzy już mają dosyć tego opisywactwa, tej obyczajowości, tych romansików byle jakich, tych kłopotów zbiorowych. Chcą oni dotrzeć do sedna sprawy, do którego przypuszczalnie nie można dotrzeć.

B. M.: A jednocześnie wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy zbuntowani.

T. K.: Tak, jesteśmy zbuntowani właśnie nie tylko w sensie „białych plam”, polityki, ale w ogóle naszej paskudnej egzystencji, która polega na tym, że trzeba jakiegoś bliźniego poruszającego się na tym globie zjeść, żeby przeżyć do wieczora. Jest tu coś dziwnie niedobrze pomyślanego. Kiedyś

zdoylem się na dość banalny aforyzm, parafrazujący pojedynek któregoś z naszych poetów, że „poetą się nie jest, poetą się bywa”, czy „człowiekiem się nie jest, człowiekiem się bywa”. Tak właśnie jest. Ta nasza paskudność egzystencji, w nią jest wliczony też nasz marny charakter jakby z natury, to znaczy ogromna masa instynktów animalnych, popędów zwierzęcych, egoizmu, zachłanności, chęci dominowania. Ale tym wspanialsze są zwycięstwa nad animalnością. W tym strasznym życiu, jakim żyjemy, widzimy od czasu do czasu świetne przykłady człowieczeństwa i – moim zdaniem – to już wystarczy, bo to jest ładne, bo to jest nasz własny dorobek gatunku homo sapiens, dwunożnych ssaków. Myśmy się dorobili, że stać nas na tak wspaniałe przykłady właśnie tego, co nazywamy człowieczeństwem. I gdy patrzymy na historię, to widzimy okropną ilość rzeczy marnych, niedobrych, nieciekawych, zawstydzających – i od czasu do czasu te błyski światła. I tak jest dzisiaj. Ja już jestem w tym wieku, kiedy złagodniałem, zrozumiałem, że nie pokonam świata, nie poprawię go, a nawet, co gorsza – że nie zrozumie do końca tego wszystkiego. Przyznaję, bo było to moją jedyną w życiu ambicją, jaką miałem. Tak skupiałem po nocach wszystkie siły, czekając na ten błysk, na tę iluminację jakiegoś zrozumienia. Bo tylko to mnie w życiu interesuje. Chciałem wiedzieć, co to wszystko znaczy: moje życie, Pani życie, Polaków skłóconych z sąsiadami i sąsiadów olbrzymiejących w jakieś mocarstwa i potem pękających jak purchawki. I ten glob, ta mała planetka, która krąży razem z innymi dookoła słońca. Co to znaczy nieskończoność? Co pewien czas panowie uczeni wyjaśniają to inaczej. Raz powiadają, że świat jest

skończony, a potem nagle mówią: nie, nie jest skończony. Potem znowu, że jest skończony. Tłumaczą i ciągle myślą się, nawet w dacie narodzin wszechświata: raz mówią, że to cztery i pół miliarda, raz pięć, a teraz powiadają dwadzieścia czy dwadzieścia pięć miliardów lat. Chcemy wiedzieć, i jest to jedna z naszych najpiękniejszych cech. I nigdy się jej nie wyrzekniemy. Zawsze będziemy chcieli wiedzieć, co to wszystko znaczy, a żeby wiedzieć, co to wszystko znaczy, bezustannie usiłujemy zapisywać to, co widzimy, i to, co wiemy. I odczuwamy pewien, jak mówią lekarze, dyskomfort psychiczny. Stąd Wielka Improwizacja tak bardzo koresponduje z naszym samopoczuciem i widzowie wybaczą dwanaście i pół minuty gadania do kamery:

Ja mistrz!

Ja mistrz wyciągam dłonie!

Wyciągam aż w niebiosa i kładę me dłonie

Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kręgach.

To nagłym, to wolnym ruchem,

Kręcę gwiazdy moim duchem.

Milijon tonów płynie; w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;

Zgadzam je, dzielę i łączę,

I w tęczę, i w akordy i we strofy płacę.

Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach. –

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata kra-
wędzie,

I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.

Sam śpiewam, słyszę me śpiewy –

Długie, przeciągłe jak wichru powiewy,

Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie

Jęczą żalem, ryczą, burzą,

I wieki im głucho wtórzają;

A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,

Mam go w uchu, mam go w oku,

Jak wiatr, gdy fale kołysze,

Po świstach lot jego słyszę,

widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!

Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie.

Taka pieśń jest siła, dzielność,

Taka pieśń jest nieśmiertelność!

B. M.: Z jednej strony są pewne powtarzające się zjawiska w życiu narodu, ale jednocześnie one jednak mutują i one jednak tworzą inną jakość.

T. K.: Co do tego, to nie jestem tak bardzo pewien. Zresztą ja jestem maniakiem tej idei, którą wziąłem od pani profesor Janion, mianowicie tego ciągle jednak terroru o charakterze, nawet bym powiedział, religijnym, religijnym w sensie siły nakazów, zakazów, które nas trzymają od początków XIX wieku.

B. M.: I to wtedy byłoby pesymistyczne. To by wskazywało, że jesteśmy skłonni raczej do jakichś wielkich uniesień, zrywów, a nie jesteśmy zdolni do takiego normalnego, racjonalnego życia.

T. K.: My się zmieniamy. Widzę nowy, niezwykły objaw, który się teraz w czasach „Solidarności” ukazał, w praktyce politycznej: łagodność, jakaś jednak łagodność Polaków, tzw. dobre serce, które uosabiają nasi dzisiejsi przywódcy. Kiedy ja patrzę na to, co się u nas demonstruje nowego, to mnie to wzrusza. To jest inne. Niemniej pewne rzeczy, pewne aksjomaty moralne zostają. Na przykład: pytam mnie jakiś dziennikarz zachodni: „Proszę pana, jak pan się zapatruje na kompromis, bo u nas na świecie kompromis to jest najwyższa wartość w życiu społecznym i politycznym?” Odpowiadam: „Proszę pana, u nas kompromis to jest zdrada, zaprzaństwo i każdy tym pogardza”. Otóż, te pewne pryncypia niepraktyczne, ale wyniesione z romantyzmu, który stał się rodzajem religii narodowej, w dalszym ciągu funkcjo-

nują i może jeszcze w przyszłości będą funkcjonować, czyniąc z nas pewną oryginalną społeczność w tym praktycznym, realistycznym, nawet może mieszczańskim otoczeniu.

B. M.: W Pana filmie jest happy end. Czy Pan swoją *Lawą* chce nam dać nadzieję na przyszłość?

T. K.: To są *Dziady* po raz pierwszy w historii z happy endem. Zresztą tekst jest wzięty z Mickiewicza, ze wstępu do *Dziadów*. O to mi chodziło, żeby przypomnieć naszemu społeczeństwu, które ciągle tylko i wyłącznie czeka na pomoc Zachodu, na to, że jacyś Anglicy, Amerykanie, że ktoś nas uratuje, nakarmi, ubierze, pogładzi po głowie i będzie podziwiał – że jest nas dużo. Dlatego pokazywałem te sceny masowe, że jesteśmy lawą, potężnym, jeszcze do końca nie ukształtowanym

społeczeństwem, co też ma swoje zalety, i że damy sobie radę, niezależnie od tego, czy nas będą pieścić bardziej czy mniej. I to był pierwszy wyraźny w moim pesymistycznym usposobieniu i w mojej sceptycznej praktyce literackiej akcent optymistyczny i prawdziwy hollywoodzki happy end.

„Polska od pół wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego, niezblaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było od czasu prześladowania chrześcijaństwa. Zdaje się, że królowie mają przeczucie chorobowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku. A lud coraz mocniej wierzy w odrodzenie się swoje i zmartwychwstanie”.